

1939

POCZĄTEK KOŃCA POLSKICH KRESÓW



Generał Heinz Guderian (z prawej), twórca strategii blitzkriegu i dowódca korpusu podczas kampanii wrześniowej, ustala przebieg linii demarkacyjnej między armią niemiecką i sowiecką z komisarzem politycznym Armii Czerwonej Borowieńskim

IPN – WWW.17WRZEŚNIA39.PL, WWW.17WRZEŚNIA39.PL

TYGODNIK POWSZECHNY

20 września 2009 nr 38 | Kraków
DODATEK SPECJALNY
„TYGODNIKA POWSZECHNEGO”
Redakcja:
Wojciech Pięciak, Patrycja Bukalska

17 września

DR HAB. RAFAŁ WNUK:

WE WRZEŚNIU 1939 R.

ROZPOCZĘŁO SIĘ NISZCZENIE ŚWIATA KRESÓW,
KTÓRY TWORZYŁ SIĘ PRZEZ KILKASET LAT.
GDYBY LUDZIE, KTÓRZY WYSZLI Z ARMIĄ ANDERSA,
WRÓCILI DO SWOJEGO WILNA I LWOWA,
ŚWIAT KRESOWY BY SIĘ ODTWORZYŁ.
TAK SIĘ NIE STAŁO, A PRZEORYWANIE KRESÓW
TRWAŁO AŻ DO ROKU 1946.

► **PATRYCJA BUKALSKA:** W sierpniu 1939 r. było właściwie wiadomo, że wojna z Niemcami wybuchnie. Czy były podobne sygnały dochodzące ze wschodu? Czy polski wywiad miał informacje, że ZSRR też może uderzyć?

RAFAŁ WNUK: Nie zdarzyło się nic, co by jednoznacznie wskazywało, że należy się spodziewać ataku ze strony ZSRR. Dopiero od pewnego momentu – w końcu sierpnia i na początku września – zaczęły płynąć informacje, że jest koncentracja wojsk i wzmożony ruch w pasie nadgranicznym. Ale interpretowano to jako reakcję na konflikt polsko-niemiecki: to normalne, że jeśli dwa państwa stoją u progu wojny, a potem wojna wybuchła, to państwo trzecie, które z jednym z tych dwóch graniczy, przygotowuje się na różne ewentualności. Aktywności ZSRR nie odczytywano więc jako przygotowań do ataku. Do polskich dyplomatów na Zachodzie dochodziły wprawdzie skąpe informacje, że pakt Ribbentrop–Mołotow zawiera jakieś dodatkowe elementy – oczywiście nikt nie nazywał ich jeszcze „tajnymi protokołami” – ale nie potrafiono tych sygnałów odpowiednio odczytać. Można oczywiście robić z tego zarzut polskiemu wywiadowi i politykom. Ale moim zdaniem byłby on ahistoryczny: zakładalibyśmy wtedy, że oni mieli taką wiedzę, jaką my mamy dziś. Tymczasem wtedy nie było jasnych sygnałów, że Sowieci przygotowują się do wojny z Polską.

► We wrześniu 1939 r. ogromna większość polskich wojsk skoncentrowana była na „froncie zachodnim”: na pół-

nocy, zachodzie i południu, wzdłuż granic zagrożonych atakiem Niemiec. Czy gdyby podzielono je inaczej, wpłynęłoby to na inny przebieg walk z Armią Czerwoną, na polskim „froncie wschodnim”?

Polska stanęła wobec agresji dwóch najsilniejszych wtedy armii na świecie. Nie miała żadnych szans. Tak naprawdę zorganizowana obrona liniowa Wojska Polskiego skończyła się 5 września. Niemcy przełamali polskie linie, stosując nową strategię, o jakiej nikt jeszcze nie słyszał. To było kompletne *novum*. Podejrzewam, że nawet gdyby Polska miała przed 17 września pewne informacje, że zostanie zaatakowana z dwóch stron, nic innego nie mogłaby zrobić. Oczywiście, to niehistoryczne gdybanie... Ale pozostaje faktem, że jedyne, co można było uczynić po 17 września, to zająć się jak najszybszą ewakuacją jak największej liczby ludzi do państw trzecich. Obrona nie miała już żadnego celu.

► **Wspomniał Pan o nowym sposobie prowadzenia wojny przez Niemców. A jak swoją ofensywę prowadzili Sowieci? Można porównać ją ze startem z Niemcami?**

Trudno to porównywać w sensie militarnym. Chodzi o to, że rozkazy, jakie otrzymały oddziały polskie w odniesieniu do działań Niemców, oraz rozkazy, jakie otrzymały po 17 września w odniesieniu do jednostek sowieckich, były zupełnie odmienne. Z Niemcami mieliśmy walczyć, jak i gdzie tylko się

→ STR. VIII

Obchody 70. rocznicy
wybuchu II wojny światowej



Organizatorzy obchodów:

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Rada Ochrony
Pamięci Walk
i Męczeństwa




NARODOWE
CENTRUM
KULTURY

WYMÓWIENIE LOJALNOŚCI

WYBUCH WOJNY WYZWOLIŁ NA WSCHODZIE POLSKI NADZIEJE UKRAIŃCÓW, BIAŁORUSINÓW I ŻYDÓW – MNIEJSZOŚCI, KTÓRE ŹŁE CZUŁY SIĘ W II RP.

WKROCZENIE SOWIETÓW WYDAWAŁO SIĘ
GWARANCJĄ SPEŁNIENIA ICH MARZEŃ.

ALE NADZIEJE SZYBKO ZASTĄPIŁO
ROZCZAROWANIE.

GRZEGORZ HRYCIUK

Mimo formalnego równoprawienia mniejszości narodowych w międzywojennej Polsce, nie tylko Ukraińcy czy Białorusini, ale też Żydzi pod wieloma względami mogli czuć się obywatelami ostatniej kategorii. Ich sytuacja uległa pogorszeniu po 1935 r., gdy władze sanacyjne zaczęły odchodzić od polityki asymilacji państwowej. W obliczu nacjonalizmów i zagrożenia wojną, w imię wzmocnienia wewnętrznej spójności państwa podjęto działania zmierzające do umocnienia elementu polskiego na ziemiach wschodnich i osłabienia stanu posiadania mniejszości.

Napięcie na wschodzie

Dotkliwe straty poniósł białoruski ruch narodowy, natomiast – mimo rozwiązania w 1938 r. Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi – znaczne wciąż były wśród Białorusinów wpływy komunistów. Choć pod koniec lat 30. polskim władzom na ogół udało się utrzymać ład na obszarach zamieszkałych przez ludność białoruską, to potencjał niezadowolenia był znaczny. Jeden z białoruskich działaczy narodowych tak charakteryzował ten nastrój „przed burzą” swych rodaków: „Pójdą oni z entuzjazmem za każdym, kto obieca i chleb, i więcej ziemi, by produkować chleb”.

Z kolei zawarta w 1935 r. ugoda między umiarkowanymi politykami ukraińskimi a władzami polskimi nie przetrwała długo. Niespełnione oczekiwania społeczności ukraińskiej, rosnąca wśród młodszego pokolenia sympatia do nacjonalizmu integralnego spod znaku Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), w połączeniu z niefortunnymi planami i działaniami zmierzającymi do wzmocnienia pozycji ludności polskiej kosztem Ukraińców w Galicji Wschod-

niej i na Wołyniu – wszystko to przyczyniło się do wzrostu antagonizmów polsko-ukraińskich. Represje wobec działaczy nacjonalistycznych i prewencyjne aresztowania, prowadzone od lipca do początków września 1939 r., przyczyniły się do tego, że również w przypadku znacznej części społeczności ukraińskiej potęgowało się poczucie wrogości, niekiedy nienawiści do państwa polskiego, a konflikt polsko-niemiecki rysował perspektywę zmian na lepsze.

Również relacje polsko-żydowskie uległy pogorszeniu. Wpływy ideologii nacjonalistycznej i napięcia, których przejawem były rozruchy antysemitki, spowodowały odwrócenie się tendencji asymilacyjnych, a nawet akulturacyjnych. Niezmiennie na stosunku do mniejszości żydowskiej ciążył stereotyp „żydokomuny”.

Zatem wybuch wojny z Niemcami – prócz dominującego, jak się zdaje, poczucia niepewności i obaw – wywołał też w niektórych środowiskach nadzieje. Ich świadectwem może być zapis w dzienniku księdza prawosławnego z Wołynia Maksyma Fedorczuka pod datą 1 września: „Nareszcie to nastąpiło (...). Ukraińcy się radowali. Polacy płakali”.

Docierające do mieszkańców Kresów wieści, a przede wszystkim wzbierająca fala uchodźców i pojawienie się pośpiesznie ewakuowanych instytucji coraz dobitniej świadczyły o klęsce Polski. Załamywanie się autorytetu państwa nie doprowadziło jednak – poza częścią Polesia – do drastycznego pogorszenia się stanu bezpieczeństwa na terenach północno-wschodnich II Rzeczypospolitej. Znaczenie bardziej dramatyczny był przebieg wydarzeń na obszarach zamieszkałych przez ludność ukraińską, zwłaszcza na Podkarpaciu. 10 września doszło tu do wystąpienia bojówek OUN przeciw polskim oddziałom. Uzbrojone grupy ukraińskie zajmowały gmachy publiczne, opanowały przejściowo m.in. Stryj. Wojsko i policja odpowiedziały zdecydowaną, momentami brutalną akcją pacyfikacyjną, tłumiąc rebelię, wznieconą na obszarach tuż za linią frontu.

Przez bramy triumfalne

Momentem krytycznym stało się włączenie ZSRR do wojny przeciw Polsce. Wkroczenie Armii Czerwonej na Kresy pod hasłami zjednoczenia Białorusinów i Ukraińców oraz uchronienia ich przed skutkami wojny, a także zapowiedzi rozwiązania problemów społecznych spotkały się z nader przychylnym, miejscami entuzjastycznym przyjęciem mniejszości – nie tylko Białorusinów i Ukraińców, ale też ludności żydowskiej. Nastąpiło niemal natychmiastowe wymówienie lojalności II Rzeczypospolitej przez znaczną część jej niepolских obywateli.

Poza niewielkim, przylegającym do granicy pasem ziem – którego mieszkańcy, stykający się z uciekinierami z ZSRR, mieli lepsze pojęcie o rzeczywistości radzieckiej – czer-

wonoarmiści wyczekiwani byli na ogół w atmosferze pełnej nadziei. 20 września szef Zarządu Politycznego Armii Czerwonej Lew Mechlis, towarzysząc wojskom Frontu Ukraińskiego, meldował: „Ludność ukraińska wita naszą armię jako prawdziwych wyzwolicieli. Nawet nacierające jednostki czołowe są obsypywane kwiatami; ludność wita naszych dowódców i żołnierzy, stara się koniecznie wręczyć czerwonoarmistom jabłko, pierogi, wodę do picia itp. (...) wielu płacze z radości”. Polak z Wołynia zapamiętał, że „ludność żydowska i ukraińska na każdych ulicach miasta i wsi stawiała bramy, przez które jechały wojska Armii Czerwonej (...) witali ich okrzykami i kwiatami”.

Ksiądz Fedorczuk 17 września pisał: „Młodzież szykuje bramę triumfalną. Wszyscy zjednoczyli się, tak komuniści, jak i niekomuniści. Wszyscy są ciekawi zobaczyć czerwonych bojowników, posłuchać z ich ust o życiu i dobrobycie radzieckiego chłopca i robotnika. Chciałoby się wszystkim pożyć tym wolnym i szczęśliwym życiem, jakie na podstawie audycji radiowych i komunistycznej prasy jest w Związku Radzieckim”. 19 września na widok oddziałów radzieckich duchowny notował: „wszyscy cieszyli się jak dzieci (...) będziemy mieć swoje ukraińskie szkoły, ziemię, wszystko przejdzie w ręce Ukraińców. Dość panowania Polaków (...) Chwała Stalinowi, Woroszyłowi, Tymoszen-ce! – nieustannie niosło się z ust chłopów”.

Stawianie bram triumfalnych przyozdobionych wykonanymi naprędce czerwonymi flagami było niemal regułą. Niekiedy powitania odbywały się z udziałem orkiestr, a nawet chorągwi cerkiewnych. Na obszarach zamieszkałych przez Ukraińców symbolika wzbogacona była o niebiesko-żółte flagi narodowe, które jednak wywoływały zdecydowane reakcje radzieckich dowódców.

Nieco mniej jednoznaczne były reakcje inteligencji. O ile przedstawiciele tracącego na znaczeniu w Galicji Wschodniej środowiska „moskalofilów” w swej odezwie „z pełnych piersi krzyczyli: Niech żyje Radziecki Robotniczo-Chłopski Kraj pod mądrym kierownictwem wodzów proletariatu towarzyszy Stalina i Mołotowa”, o tyle odczucia wielu innych reprezentantów ukraińskiej opcji narodowej były bardziej stonowane. Osyp Nazaruk pisał: „wszyscy zdawali sobie sprawę z wielkiej wagi tej chwili. Niektórzy głośno i z ulgą oddychali, mówiąc: »Niech będzie, co będzie, ale dobrze, że skończyła się polska niewola!«. Ale pełnej radości z tego faktu nie było: dawał się odczuć jakiś niepokój. Słowem, uczucia były podzielone”.

Antypolskie rewolty

W wielu miejscach tworzyły się oddziały, które atakowały mniejsze jednostki Wojska Polskiego. Ich aktywność nie wyczerpywała się na rozbrajaniu żołnierzy i policji. W meldunku radzieckiego Frontu Ukraińskiego

czytamy: „Na uciekające resztki wojsk polskich napadła miejscowa ludność. Z Podhajej chłopcy wypędzili ok. 300 oficerów i żołnierzy. (...) We wsi Lisa, żeby przeszkodzić Polakom w wycofywaniu się, chłopcy wycięli drzewa i zabarykadowali nimi wąskie podejście do mostu, a most rozebrali. Z kolei gdy my musieliśmy przejechać, zeszło się bardzo dużo chłopów, którzy w pół godziny z własnej inicjatywy zbudowali nasyp oraz zapewnili nam wolny przejazd”.

Rolę pomocy udzielanej przez ludność białoruską podkreślano w meldunku 10. Armii: „Ludność wszelkimi sposobami pomagała Armii Czerwonej w wykonywaniu zadań bojowych: wszystkie mosty z reguły były chronione dla armii, wskazywano miejsca, w których Polacy zakopywali uzbrojenie i sprzęt, zdradzano i wyłapywano drobne bandy. (...) Serdeczny stosunek ludności do Armii Czerwonej sprawił, iż nie było tam możliwości rozpowszechnienia się bandytyzmu i szybko oczyszczono tereny Białorusi Zachodniej z resztek elementów klasowo wrogich”.

Do rangi symbolu i martyrologii walk Białorusinów i Żydów urosło tzw. powstanie skidelskie: opanowanie niewielkiego miasteczka Skidel i jego odbicie oraz akcja odwetowa, dokonana przez oddziały polskie jeszcze przed wejściem Armii Czerwonej. Rewolty antypolskie największe nasilenie osiągnęły w powiecie grodzieńskim, wołkowskim, a także brzeskim, kobryńskim, drohiczyńskim i pińskim. Na obszarze województwa wołyńskiego najwięcej wystąpień odnotowano w powiatach kowelskim i łuckim.

Nowe porządki

We wsiach i miastach – na ogół za wiedzą, aprobatą i przy współudziale zarządów politycznych Armii Czerwonej – powstawały lokalne organy władzy i milicja. Zapewniały próżnię, powstała po rozpadzie administracji polskiej. O ile na Białorusi i Wołyniu, gdzie sympatie proradzieckie były miejscami silne, pojawiali się zwolennicy i sympatycy komunizmu (we wsiach Białorusini i Ukraińcy, w miastach często Żydzi), o tyle na terenach zamieszkałych przez Ukraińców w skład zarządów tymczasowych i komitetów nierządkiem wchodziły osoby o przekonaniach nacjonalistycznych. Jeśli w przypadku nacjonalistów ukraińskich można mówić o próbie instrumentalnego wykorzystania instytucji radzieckich dla swoich celów – sprzecznych z intencjami władz okupacyjnych – o tyle niektórzy działacze Ukraińskiego Zjednoczenia Narodowo-Demokratycznego (UNDO) – ukraińskiej partii, istniejącej w II RP od 1925 r. – być może zwiędzeni tonem radzieckich oświadczeń, wystąpili we Lwowie z propozycją swego paktu z ZSRR i znalezienia niszy w nowej rzeczywistości. Ich deklaracja pozostała bez odpowiedzi. Aresztowania czołowych postaci ukraiń-



„Brama powitalna” zbudowana przez mieszkańców wsi Grudziewice (powiat grodzieński) na przyjęcie Armii Czerwonej

skiej sceny politycznej – Kosta Łewyckiego, Iwana Nimczuka, Wołodomyra Celewycza i innych – szybko rozwinęły mrzonki o możliwości znalezienia *modus vivendi* z władzami ZSRR.

Podobne doświadczenia stały się udziałem części białoruskich działaczy politycznych: narodowców skupionych wokół Antona Łuckiewicza. Na spotkaniu z przedstawicielami władz radzieckich w Wilnie zadeklarował on poparcie dla nowej administracji: „największy ciężar pańskiego ucisku i narodowego ograniczenia zrzucony został na zawsze. Białoruś znów stała się zjednoczona, żadne granice nie podzielią już połączonych ziem białoruskich. Pracując Białorusini żyć będą w przyjaźni (...). Utrwalenie zjednoczonej wolnej radzieckiej Białorusi oznaczać będzie drogę jej szybkiego rozwoju. Już nigdy pracującym Białorusinom nie będą grozić ostrogi i nieludzkie traktowanie”. Mimo tej entuzjastycznej bez mała oceny, oferta współpracy nie została przyjęta; Łuckiewicz i jego współpracownicy zostali uwięzieni przez NKWD.

Nie wszyscy białoruscy działacze polityczni – a tym bardziej ukraińscy – zdecydowali się na pozostanie na obszarze okupowanym przez ZSRR. 22 września, w dniu wkroczenia Armii Czerwonej do Lwowa, na ucieczkę na zachód zdecydowało się kilku prominentnych polityków ukraińskich, jak Iwan Kedryn-Rudnycki (redaktor dziennika „Dilo”), Wasyl Mudry (przewodniczący UNDO, wicemarszałek Sejmu Rzeczypospolitej), gen. Roman Daszkewycz (szef organizacji „Łuh”). Tym samym udało im się uniknąć nieuchronnego aresztowania przez specjalne grupy operacyjne NKWD, towarzyszące wojsku.

„Bić po mordzie panów”

Tworzeniu nowych struktur władzy, znamionujących początek „nowych czasów”, towarzyszyła nie mniej ożywiona działalność skierowana przeciw „dawnyemu porządkowi”. Przez całe Kresy przetoczyła się fala samosądów, których ofiarą padali przedstawiciele dotychczasowych władz (administracji i policji). Najczęściej Polacy, osoby podejrzewane o współpracę z polską administracją i po-

licją, niekiedy Białorusini i Ukraińcy, a także ludzie uosabiający dotychczasowy układ społeczny. Zdaniem Krzysztofa Jasiewicza na obszarach północno-wschodniej Polski ofiarą bojówek (składających się głównie z chłopów białoruskich) padło 62 ziemian, a na terenach południowo-wschodniej Polski 23 (tu z rąk grup składających się z chłopów ukraińskich).

Nienawiść społeczna i narodowa kierowana była też przeciw polskim osadnikom. Do masowych zabójstw doszło np. w okolicach Wołkowyska, jak i na Podkarpaciu oraz Podolu. Według fragmentarycznych danych, we wschodniej Galicji zginąć miało wówczas kilka tysięcy Polaków. Np. w powiecie brzeżańskim we wsi Potutory i Koniuchy zamordowanych miało zostać około 100 osób. We wsi Slawentyn w powiecie podhajeckim śmierć poniosło 85 Polaków. Wśród ofiar nie mało było też uchodźców i wracających do domów żołnierzy z rozbitych i zdemobilizowanych oddziałów. Wspominał o tym w swej relacji, złożonej w październiku 1941 r., Arie Wilner, jeden z przywódców ŻOB podczas powstania w getcie warszawskim: „[Ukraińcy] przed wkroczeniem Rosjan urządzali formalne pogromy na Polakach (zwłaszcza mścili się na powracających z wojska żołnierzach polskich i wielu z nich wyróżnili) i z właściwą sobie w tym kierunku zdolnością zorganizowali dziesiątki i setki band partyzanckich, które napadły także przy okazji na Żydów, chociaż – powtarzam raz jeszcze – »specjalnością« ich były przede wszystkim napady na Polaków. Zuchwałość tych band doszła do tego stopnia, że nie zaprzestały swej działalności na długo po wkroczeniu wojsk bolszewickich i ci mieli dużo kłopotów, nim je wytopili”.

Ten często narodowy, a nie jedynie społeczny aspekt konfliktów dostrzegano dowództwo Armii Czerwonej. Interesujące jest, że szczególne zagrożenie konfliktem narodowościowym odnotowywano na terenach zamieszkałych przez ludność polską i ukraińską. Tu też władze ZSRR przystąpiły do uśmierzenia napięć narodowościowych – początkowo głównie deklaratywnie, wydając ulotki i odezwy do Polaków i Ukraińców. Groźby takiej nie zauważano na terenach za-

Represje radzieckie, zapoczątkowane już we wrześniu, a także informacje od przybyłych ze wschodu „Sowietów” spowodowały rewizję postaw. Najpierw w wielu kręgach społeczeństwa ukraińskiego, a w dalszej kolejności – u ludności białoruskiej i żydowskiej.

mieszkałych przez ludność białoruską, gdzie liczba ofiar wśród Polaków sięgnąć mogła – jak wynika z danych przytoczonych przez Marka Wierzbickiego – nawet kilku tysięcy osób. O skali antagonizmu polsko-białoruskiego zdaje się świadczyć wypowiedź niejakiego komandarma Kowalowa na naradzie w Wołkowysku: część komitetów chłopskich domagała się już we wrześniu 1939 r. wysiedlenia wszystkich Polaków i pozostawienia na miejscu samych Białorusinów.

Nowe władze, prócz zapewnienia bezpieczeństwa na swym terenie oraz rozliczeń i wyrównywania krzywd, w specyficzny sposób wprowadzały też elementy radykalnego programu społecznego i politycznego, dokonując „redystrybucji” majątku: niszcząc mienie ruchome lub przejmując dobytek i ziemię osadników oraz ziemian. Tę aktywność wital z zadowoleniem Pantelejmon Ponomarenko, I sekretarz KC KP(b)B, który na posiedzeniu kierownictwa partyjnego jesienią 1939 r. stwierdził: „Wymęczeniu Białorusini powinni konfiskować ziemię, sami ją dzielić i bić po mordzie panów, w ten sposób na wieki zwiążą się z nami. Jest to polityka konieczna”.

Część wystąpień miała bez wątpienia charakter kryminalny. Niekiedy za fasadą konfliktów etnicznych i społecznych kryły się rozliczenia sporów sąsiedzkich. W ich rezultacie wschodnie ziemie II Rzeczypospolitej spływały krwią. Ofiarą rebelii i bezprawia stała się głównie ludność polska, w mniejszym stopniu ludność żydowska oraz pewna gru-

pa Białorusinów i Ukraińców, którzy zginęli w polskich akcjach odwetowych.

Należy jednak zauważyć, że w akcjach antypolskich wzięła udział jedynie część społeczności białoruskiej i ukraińskiej. Mimo niechęci do Polski, wrogości nie odczuwano na ogół do Polaków zamieszkałych wspólnie od pokoleń, dzielących trudy codziennej egzystencji. Jesienią 1939 r. polscy sąsiedzi Ukraińców, Białorusinów i Żydów spłacali tragiczny rachunek za błędy i zaniechania polityki narodowościowej władz polskich w dwudziestolecie międzywojennym.

„Za taką wolność dziękuję”

Nadzieje związane z wkroczeniem Armii Czerwonej manifestowały się różnie. Jednym z najbardziej spektakularnych były liczone w tysiącach przypadki odejścia wraz z czerwoarmistami Żydów oraz białoruskich i ukraińskich mieszkańców terenów, z których ZSRR wycofał się w myśl ustaleń radziecko-niemieckich z 28 września. 8 października Mechlis pisał do Stalina: „Wycofują się przede wszystkim robotnicy, członkowie komitetów chłopskich, oddziały gwardii robotniczej. Biedni i średniorolni chłopci. Po drodze z Sokołowa ku rzece Bug przez 3-5 dni przesuwali się nieprzerwany potok uciekinierów z terytorium Białorusi Zachodniej. Do Augustowa, Grodna i innych miejscowości kieruje się na furmankach i pieszo duża liczba mieszkańców z rejonu Suwałk. Uciekinierzy oświadczają, że »z Niemcami nie zostaną za nic; gdzie wy, tam i my«”.

Postawę ludności białoruskiej i ukraińskiej we wrześniu i początkach października 1939 r. trafnie oceniło w 1940 r. chadeckie pismo „Białoruska Krynica”, wydawane w Wilnie: „Wrześniowy rozgrom Polski dał możliwość Związkiowi Radzieckiemu wystąpić w roli obrońcy Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy i tym samym naprawić niesprawiedliwość podziału Białorusi i Ukrainy sprzed 20 lat. Białorusini i Ukraińcy z różnych terytoriów z prawdziwym zachwytem witali ten pochód i brali w nim udział, bo cel jego był dobrze zrozumiały, bliski i ponadto popularny. Połączenie białoruskich i ukraińskich ziem było rozumiane jako historyczna sprawiedliwość i dawno oczekiwana konieczność”. Lapidarnie ujął te odczucia poeta ukraiński Roman Kupczynski: „Będziemy razem, a to już wielka rzecz!”.

Potem represje władz radzieckich, zapoczątkowane już we wrześniu, a także informacje od przybyłych ze wschodu Sowietów spowodowały stopniową rewizję postaw. Najpierw w wielu kręgach społeczeństwa ukraińskiego, w dalszej kolejności i w Ukrainie – u ludności białoruskiej i żydowskiej. Jako pierwsi w sposób zdecydowany przeciw okazali ukraińscy nacjonalisci. W trakcie wyborów do Zgromadzenia Ludowego Ukrainy Zachodniej 22 października, w ulocie kolportowanej we wsi Bitków na Podkarpaciu, pojawiło się wezwanie do znieszczenia Armii Czerwonej i „rad z komunistami”, pod hasłem: „Niech żyje wiara Chrystusowa i niezależne państwo ukraińskie”.

Mniej spektakularne, ale równie wymowne wydaje się stwierdzenie prostego Żyda, mleczarza z Łucka: „Ja za takie oswobodzenie dziękuję i proszę ich, żeby to był ostatni raz”. ♦

→ Dr hab. GRZEGORZ HRYCIUK (ur. 1965) jest historykiem, profesorem Uniwersytetu Wrocławskiego. Specjalizuje się w dziejach Europy Wschodniej w XX w. Autor książek „Polacy we Lwowie 1939–1944. Życie codzienne”, „Przemiany narodowościowe i ludnościowe w Galicji Wschodniej i na Wołyniu w latach 1931–1948”, „Masowe deportacje ludności w Związku Radzieckim” (współautor).

Sowieci weszli do Kisielina późnym popołudniem 23 września. Najpierw słychać było warkot silników. Potem do miasteczka nad Stochodem – w powiecie Horochów, województwo wołyńskie – wjechały cztery ciężarówki, a za nimi kilkunastu żołnierzy Armii Czerwonej w szarych szynelach.

Było sobie miasteczko

Nie było strzałów: nikt Kisielina nie bronił, nikt też nie zginął; polskie wojsko wycofało się kilkanaście godzin wcześniej. Zresztą „Ruscy” weszli z całkiem innej strony, niż oczekiwano. Nie tam, gdzie część mieszkańców – mówiono o nich, że to komuniści – postawiła ozdobną bramę powitalną z wieńcami. Następnego dnia większość żydowskich sklepikarzy przy rynku udekorowała swoje sklepy czerwonymi flagami.

Zagłada kisielińskiego świata następowala stopniowo. W czasie sowieckiej okupacji miasteczko uniknęło deportacji i do wejścia Niemców w czerwcem 1941 r. było właściwie spokojnie. Potem, w 1942 r., Niemcy i współpracujący ich ukraińscy policjanci zabili kisielińskich Żydów. Rok później przyszła kolej na Polaków. W ciągu dwóch letnich miesięcy 1943 r. Ukraińcy z UPA wymordowali w okolicy 500 osób; w samym tylko kościele w Kisielinie, podpalonym po niedzielnej sumie 11 lipca 1943 r., zginęły 82 osoby. Wśród tych, którym udało się przeżyć, byli Aniela Sławińska i Włodzimierz Sławosz Dębski (w czasie walk stracił nogę). Kilka lat po wojnie pobrali się. Los zawiódł ich na Dolny Śląsk, a potem do Lublina.

Wiele lat później Włodzimierz Sławosz Dębski zaczął pisać wspomnienia. Odtwarzał z pamięci topografię miasta, kształt gontów, okiennic, studziennych żurawi. Korespondował z dawnymi mieszkańcami; tymi, którzy przeżyli i których udało mu się odnaleźć. Gromadził ich relacje, zdjęcia. To odtwarzanie nieistniejącego świata zajęło Dębskiemu kilkanaście ostatnich lat życia. Po pierwszej powojennej podróży do Kisielina – było to w latach 70. – zaczął także malować. Obrazy do dziś wiszą na ścianach mieszkania Dębskich w bloku na lubelskim osiedlu. W 2006 r. jego licząca ponad pół tysiąca stron monografia „Było so-

KRESY NIE MAJĄ SWEGO MUZEUM, REPREZENTACJI POLITYCZNEJ I POMNIKÓW.

DLA WIELU POLAKÓW

– TAKŻE DLA DZIECI I WNUKÓW

MIESZKAŃCÓW TYCH TERENÓW

– NIE MAJĄ ONE TAKŻE

SWOJEJ PAMIĘCI.

KINGA HAŁACIŃSKA, TOMASZ POTKAJ

bie miasteczko. Opowieść wołyńska” ukazała się w formie książki. Włodzimierz Sławosz Dębski nie doczekał tej chwili, zmarł kilka lat wcześniej.

O losach rodziny Dębskich powstał też film. Muzykę do niego skomponował syn Aniela i Włodzimierza, Krzesimir – „kresowiak” w drugim pokoleniu.

Pamięć nieoczywista

Takich jak Dębski było w Polsce więcej. Roman Aftanazy, kustosz i wieloletni kierownik Działu Gromadzenia i Uzupelniania Zbiorów Ossolineum we Wrocławiu, od końca lat 40. dokumentował świat kultury ziemiańskiej, który został poza granicami PRL. Ponieważ nie mógł odwiedzić tych miejsc, szukał relacji, zdjęć i rozsypanych po świecie ostatnich właścicieli. Każdego dnia przez 40 lat wysyłał w tej sprawie kilka listów – robił to wieczorami, na marginesie własnej pracy zawodowej, bez wsparcia i jakiegokolwiek zachęty. Całkowicie samotnie. Pod koniec lat 80. ukazały się pierwsze z 11 tomów (każdy tom w dwu woluminach: osobno tekst i ilustracje) „Materiałów do dziejów rezydencji” (bez wzmianki, że chodzi o Kresy!), wydanych dzięki finansowemu wsparciu Andrzeja Ciechanowieckiego z Londynu. W śladowym nakładzie 500-1000 egzemplarzy.

ŚWIAT



IPN - WWW.IWWRZEŚNIA39.PL, WWW.IWWRZEŚNIA39.PL

Władysław Siemaszko – urodzony w Kurtybie syn przedwojennego dyplomaty, po wojnie radca prawny w Warszawie – wspólnie z córką Ewą przez wiele lat zbierał dokumenty, zdjęcia i relacje świadków, które złożyły się na gigantyczną pracę „Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939–1945”.

Działające od ponad 20 lat Archiwum Wschodnie Ośrodka Karta ma w zbiorach ponad 1500 relacji, 4 tys. dzienników, 700 kolekcji osobistych zawierających notatki, listy, zdjęcia, pamiątki dokumentujące losy Polaków na Wschodzie; to prawdopodobnie najbogatszy tego typu zbiór w Polsce.

Ale choć od lat trwa moda na wycieczki do Wilna, Lwowa, Krzemieńca i Kamieńca Podolskiego, polska pamięć o Kresach wcale nie jest oczywista. Jest mniej oczywista niż pamięć o Powstaniu Warszawskim – Kresy nie mają np. swego muzeum z prawdziwego zdarzenia (jest ledwie kilka niewielkich muzeów lokalnych, także prywatnych, poświęconych m.in. Kresom).

Choć bez Kresów dusza polska, jeśli w ogóle istnieje, jest tworem ulownym.

Dla porównania: na terenie Niemiec znajduje się dziś około 1400 (słownie: tysiąc czterysta) lokalnych pomników czy miejsc pamięci poświęconych dawnemu niemieckiemu Śląskowi, Prusom i innym regionom, które po 1945 r. musieli opuścić ich niemieccy mieszkańcy. Są też liczne muzea regionalne; najnowsze, Muzeum Śląskie w Görlitz, powstało kilka lat temu.

A w Polsce? Prof. Ryszard Legutko tak pisał w „Eseju o duszy polskiej”: „Przez dziesięciolecie udawano, że tych ludzi nie ma, lub że są oni nieprzyjemną, lecz nieuniknioną ceną za zwycięstwo i postęp (...). To my pierwsi powinniśmy zacząć mówić o losie wypędzonych, zagładzie cywilizacyjnej, o czystkach etnicznych. Ale mówić najpierw nam zabroniono, a potem sami straciliśmy ochotę”.

Rodzina Legutki wywodzi się ze Ślucka.

Kresy, czyli centrum

Andrzej Skrzypek, rocznik 1949, mieszka w Warszawie. Wspomina: – Mój ojciec urodził się w Złoczowie, 60 km od Lwowa. Opuścił go w 1943 r., uciekli razem z ciocią, bo Ukraińcy zapędzili ich do kopania okopów. Wiedzieli, że po wykonanej pracy czeka ich rozstrzelanie. Dziadek był emerytowanym wojskowym, babcia nauczycielką. Przyjechali [z Kresów] w 1946 r. Moja córka wie, dlaczego musieli stamtąd wyjechać, i że polskość nie była tam czymś przejściowym. Poza tym Lwów przed wojną nie był uważany za Kresy: to było centrum kraju i ośrodek kultury, który konkurował z Krakowem.

– Rok temu byliśmy całą rodziną w Złoczowie – mówi Skrzypek. – Szukaliśmy naszych śladów, naszego domu. To była bardzo smutna wizyta: miejsce wprawdzie jest, ale domu już nie ma. Nie znaleźliśmy nawet rodzinnego grobu. Na jego miejscu postawiono nowe nagrobki.

Beata Bartoszewicz, rocznik 1962, szczecinianka, polonistka: – Moi rodzice pochodzą z miejsc, które są poza granicami Polski. Ojciec spod Baranowicz, mama z Wilna. Poznali się w Szczecinie, małżeństwa między ludźmi ze Wschodu zdarzały się często. Ci ludzie wyszukiwali się instynktowo-

nie. Łączyły ich podobne przeżycia, stosunek do religii, języka, nawet znajomość tych samych potraw. W Szczecinie jest wielu ludzi zza wschodniej granicy, ale nie są to potomkowie dawnej inteligencji. Ta grupa społeczna została przesiana przez Syberię. Wielu nie wróciło, więc Szczecin zasiedlali głównie tzw. ludzie z oficy. Przed wojną byli ubodzy i tu też starali się nie zajmować najlepszych kamienic. Bali się, że ich po raz kolejny wygonią. Tuż po wojnie traktowali swój pobyt tu tymczasowo. Nie adaptowali się. Choć gdy w 1948 r. do Szczecina przyjeżdżały transporty Polaków z Syberii, zorientowali się, że już nigdy nie wrócą do domu.

– Kresowiaci to ludzie, których przez całe życie dręczy strach – twierdzi Bartoszewicz. – Bali się Rosjan, Niemców, Ukraińców, a po wojnie komunistów. Mając za sobą dwie okupacje, sowiecką i niemiecką, stali się bardzo ostrożni. Po wojnie nie awansowali, nie zależało im, by zostać elitą miasta. Uważali, że bycie nikim daje poczucie bezpieczeństwa. Bali się też przeciwstawić nowej władzy, bo widzieli porządek pod okupacją sowiecką. Wszyscy mieli wpisane w dowodach miejsce urodzenia: ZSRR. Zwykle nie mówili, skąd są, bo było to zabronione.

Matka Beaty Bartoszewicz mówiła, że jej ojciec przed 1939 r. był cieślą. Potem okazało się, że był policjantem. Ojciec nigdy nie chwalił się, że przed 1939 r. mieli sklepy. Dlaczego? Bo byłby „kułakiem”. To powszechne doświadczenie drugiego pokolenia „kresowiaków”: mogą nie wiedzieć, kim byli dziadkowie, bo rodzice nie mówili im o wielu sprawach, aby je chronić. Panowało przekonanie, że o przeszłości lepiej zapomnieć.

Czy tak trudno to zrozumieć? Ryszard Bartoszewicz, przedsięwzięta, Szczecin: – Wróciłem do Polski w 1956 r. Właściwie wracałem dwa razy. Raz z Syberii w 1946 r. Byłem sierotą w domu dziecka, mama nie wróciła z zesłania. W Brześciu odszukał mnie stryj i tak zamieszkałem u rodziny, która po wojnie postanowiła zostać na Białorusi. 10 lat później wydobyla mnie stamtąd rodzina z Polski. W dowodzie miałem wpisane: Grygorij Bortaszewicz. Gdybym zdecydował się tam zostać, nie byłoby we mnie nawet śladów polskości.

Granica (czas przeszły)

Z Klecka do Nowinek jedzie się szybko, to 11 km równej, puste drogi. Na Białoru-

OGŁOSZENIE

„Spotkania z historią”



Muzeum II Wojny Światowej zaprasza na wykład dr. Andrzeja Drzycimskiego „Westerplatte 1939. Legendy i mity”, który odbędzie się 24 września br. (czwartek) o godz. 18.00 w Dworze Artusa (Długi Targ 43/44) w Gdańsku.

„Spotkania z historią” to cykl wykładów organizowanych co miesiąc (za wyjątkiem wakacji) przez Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. „Tygodnik Powszechny” patronuje temu przedsięwzięciu.

Westerplatte to dla Polaków najważniejsze miejsce-symbol związany z II wojną światową. Po roku 1989 namnożyło się wiele prób reinterpretacji historii. Czy są one zgodne z prawdą historyczną?

W czasie spotkania będzie można nabyć najnowszą książkę Andrzeja Drzycimskiego pt. „Westerplatte 1939. Przed szturmem”.

Zapraszamy na stronę Muzeum II Wojny Światowej:

www.muzeum1939.pl

ODTWARZANY



Jednostki pancerne Armii Czerwonej wkraczają do Polski

si drogi są europejskie, tylko na samochody nadal stać niewiele.

Kiedyś tę drogę przemierzali konno polscy żołnierze: w Klecku była jednostka Korpusu Ochrony Pogranicza. Stąd do granicy Rzeczypospolitej było kilka kilometrów. Miasteczko – pełne mundurów i żydowskich sklepików – tętniło życiem, region przygraniczny żył z handlu. Dziś nie dzieje się tu nic: bazarek, pusty rynek, odrapane kamienice i brzydkie chruszczowowskie bloki.

W Nowinkach też pusto: kilka opustoszałych chałup. Na skrzyżowaniu z trasą ze Słucka na Lachowicze straszy murowane bistro: karykatura szlacheckiego stylu dworskowego. Przed wojną stał tu duży drewniany dom z gankiem, leśniczówka, własność Antoniego Szuszkiewicza i jego trzech córek. Bywał tu książę Albert Radziwiłł, ostatni właściciel Nieświeża. Od progu wołał: „Uszanowanie pani Szuszkiewicz! Czy mąż jest w domu?”. Dla mieszkańców tej leśniczówki przyjazd księcia to było wydarzenie. Jeszcze po latach – w dalekim Poznaniu – opowiadali o tym swoim wnukom.

Dziś przed bistro w Nowinkach z rzadka zatrzymują się samochody. Turyści tu nie przyjeżdżają – bo i nie ma po co – a miejscowi kawę wołają wypić w domu. Jeśli pojawią się turyści, to jadą do Nieświeża.

Tu, przed najstarszym barokowym kościołem w Rzeczypospolitej, czekają na otwarcie kaplicy z grobami Radziwiłłów i oglądają zamek: odbudowywany, ale i tak wyglądający jak ruina.

A grobu Antoniego Szuszkiewicza nie sposób w Klecku odnaleźć: zarósł, zniszczyli. Jedną z córek zginęła na Syberii, dwie pozostałe nigdy już tu nie wróciły. Ich rodziny mieszkają w zachodniej Polsce, ponad 600 km stąd. Zresztą do granicy teraz z Klecką daleko. I jedzie się do niej, inaczej niż przed wojną, na zachód.

Tożsamość przemilczana

– Moja rodzina pochodzi z Baranowicz. W Brzegu, skąd pochodzę, dwie trzecie mieszkańców przyjechało z Kresów. Przybywali tu w bydłych wagonach, po dwóch tygodniach podróży – opowiada Jacek Protasiewicz, poseł do Parlamentu Europejskiego i przewodniczący delegacji europarlamentu ds. Białorusi. – Pociąg stał czasem kilka dni w jednym miejscu. Ale mógł ruszyć w każdej chwili, np. gdy ktoś poszedł po wodę. I wte-

dy był rozdzielony z rodziną, bo przecież nikt nie znał miejsca przeznaczenia. Dziadkowie najpierw wysiedli we Wrocławiu. Ale przeraziło ich wypalone miasto, w którym dookoła wszystko było po niemiecku. Jedyny napis, jaki rozumieli, to „*min niet*”. Uciekli stamtąd. Brzeg wydał im się bardziej przyjaznym miejscem do życia.

Tomasz Kwaśnicki, rocznik 1981, z Warszawy, „kresowiak” w trzecim pokoleniu: – Moi dziadkowie ze strony ojca pochodzili z Komarna, powiat Rudki, województwo łwowskie. Po wojnie osiedlili się we wsi Nowolesie na Dolnym Śląsku, tam też urodził się mój tata.

Nowolesie: kilkanaście rodzin z Komarna, pozostali z Trembowli i okolic (Podole), trochę rodzin z centralnej Polski i dwie rodziny niemieckie. Sąsiedzi obok sąsiada. Sami swoi. – Ilekroć przyjeżdżałem do dziadków, opowiadali, jak wyglądało ich życie „w domu” – mówi Kwaśnicki. „Dom” to było miejsce ich urodzenia. Sami „kresowiacy” rzadko używają określenia „Kresy”.

W opowieściach dziadków było miejsce na imiona dzieci z sąsiedztwa, nazwiska komarnieńskich Żydów, smak potraw. Potrawy były tą częścią świata, którą udało się ocalić. Na Dolnym Śląsku w poniemieckim domu na stole wigilijnym pojawiała się kutia. A na gołąbki mówiono „hołubiec”.

W latach 80., gdy Tomek chodził do szkoły, kresowej przeszłości nikt już się nie bał. Wcześniej było inaczej. Protasiewicz: – Dziadkowie i ojciec pojechali do Baranowicz dopiero w latach 80. Pamiętam, że mówili: „Jedziemy na Białoruś”, a nie, do ZSRR. Dopiero w latach 90. dziadek zaczął wspominać.

– Dziadkowie nigdy nie ukrywali swojej przeszłości, może dlatego, że jako rolnicy uprawiający ziemię na poniemieckim gospodarstwie nie mieli nic do stracenia – wspomina Kwaśnicki. – Opowiadali o tym swoim dzieciom i wnukom. Jako ludzie prości nie mieli kłopotów z określeniem własnej tożsamości. Wiedzieli, że „kresowiak” to Polak, tylko jeszcze „bardziej”. Bo pytanie o to, kim jest, zostało mu postawione wyjątkowo brutalnie.

Przez dziesięciolecia wsie na Dolnym Śląsku wyglądały tak, jakby Niemcy opuścili je przed chwilą. Byli tacy, którzy nie rozpakowywali się przez kilka lat, traktując poniemieckie domy jako tymczasowe siedziby

i czekając, kiedy będą mogli wrócić „do domu”. Tęsknili i marzyli, by pojechać do swojego Komarna czy Trembowli, ale nie mogli. A kiedy już było wolno, nie chcieli. Kwaśnicki: – Pojechałem do Komarna jeszcze jako uczeń liceum, przede mną byli tam ciocia i wujek. Odnalazłem dom, własność pradziadka, szewca Tomasza Kwaśnickiego. Mieszka w nim Łemka, wysiedlona z Polski w latach 40. Za pierwszym razem nie chciała ze mną rozmawiać. Dopiero podczas drugiej wizyty udało się przełamać lody.

Druga krzywda

Beata Bartoszewicz mówi, że czuje się szczecinianką: – W 1948 r., dwa lata po przyjeździe, umarła babcia. Jest pochowana w Szczecinie i to nasz pierwszy tutaj grób. W dzieciństwie miałam poczucie, że jestem ze Szczecina i nic innego nie ma. W 1974 r. ojciec zabrał mnie w podróż na Białoruś, za Gierka było to możliwe, aby odwiedzić rodzinę. Wszystko, co tam zobaczyłam, wydało mi się biedne, prymitywne. Zastanawiałam się, jak można tak mieszkać. Byłam dzieckiem, teraz patrzę na to inaczej. To była dla mnie ważna podróż.

Irena Michalska, handlowiec z Lewina Brzeskiego, nigdy nie odwiedziła miejsc pochodzenia swej rodziny: – Dziadkowie pochodzili z terenów Białorusi, ale mój ojciec nie chciał o tym mówić. Bał się. W naszej kamienicy było wielu ludzi „znikąd” i nikt nikogo o takie sprawy nie pytał. Rodzice nie mówili mi o przeszłości, więc nie miałam świadomości, kim jestem. To był temat tabu. Myślę, że gdyby ojciec wspominał o Syberii, nie dostałby awansu. Ja sama nie przekazyuję dzieciom i wnukom wiedzy o Kresach, bo jej nie mam.

Beata Bartoszewicz długo stawiała sobie pytanie o własną tożsamość, nim postanowiła po prostu ją odnaleźć: – Nie jestem Niemką, choć mieszkam w Szczecinie. Nie

jestem Rosjanką, choć rodzice w dowodach mieli wpisane „ZSRR” jako miejsce urodzenia. Świadomość o dawnych granicach jest wśród Polaków tak niska, że wielokrotnie pytano mnie, czy jestem Rosjanką, skoro rodzice pochodzą ze Wschodu. W ten sposób uczyniono nam drugą, jeszcze większą krzywdę, bo odebrano nam korzenie i przeszłość. Przemilczano naszą tragedię. Zdałam sobie sprawę, że moi przodkowie ginęli za Polskę, a ja nic o tym nie wiem. Zaczęłam zbierać dokumenty i odtworzyłam losy mojej rodziny. Teraz mam drzewo genealogiczne do XIX w. Wiem, kim jestem.

– Nasza kresowość była czymś zakazanym – mówi Protasiewicz. – Jest czymś zupełnie innym niż niemiecka. Niemcy mają organizacje ziomkowskie, a pamięć o utraconych terenach jest pielęgnowana przez państwo i władze poszczególnych landów. Zmitologizowane dawne ziemie były i są elementem polityki państwa. U nas czegoś takiego nie było. Może dlatego w mojej rodzinie świadomość kresowa mogła rozwinąć się dopiero w wolnej Polsce?

Włodzimierz Sławosz Dębski z pamięci odtworzył świat, który odszedł na zawsze. Młodszy o dwa pokolenia Tomasz Kwaśnicki od roku prowadzi portal o Kresach (www.kresy.pl). Cieszy go, że udaje mu się połączyć pasję z pracą. – Ale Kresy nie są moją prywatną sprawą, nie są też wyłącznie sprawą „kresowiaków”. To problem nas wszystkich, wszyscy powinniśmy pielęgnować pamięć o Kresach – tłumaczy.

A że w życiu warto mieć marzenia, Kwaśnicki przyznaje się do jednego: – Kiedyś chciałbym odkupić dom mojego pradziadka. Mam nadzieję, że za jakiś czas na Ukrainie będzie to możliwe. ♦

OGŁOSZENIE

NAJNOWSZY PORTAL
INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ



Polskie groby na Wschodzie

ANDRZEJ PRZEWOŹNIK:

NA KRESACH W NIEMAL KAŻDYM MIEŚCIE OBWODOWYM CZY REJONOWYM MIEŚCILI SIĘ ARESZTY CZY OBOZY, W KTÓRYCH DOKONYWANO MORDÓW.

► **PATRYCJA BUKALSKA:** Ostatnio media pisały o miejscach pochówku obywateli II RP zamordowanych przez Sowietów, jak Głębokie koło Mińska, lub o miejscach znanych, np. Łucku, gdzie ukraińskie prace doprowadziły do odkrycia polskich ofiar. Czego nie wiemy o polskich grobach na Wschodzie?

ANDRZEJ PRZEWOŹNIK: To wciąż obszar mało zbadany i udokumentowany. Nasza wiedza dotyka ledwie części problemu, który jest tak ważny dla wielu środowisk w Polsce i Polaków za granicą. Dziś możemy, na podstawie gromadzonego w ostatnich latach materiału dokumentacyjnego, wskazać



Polscy żołnierze w sowieckiej niewoli

większość miejsc martyrologii Polaków na Wschodzie, w tym na Kresach. Jednak aby podjąć poszukiwania mające zlokalizować konkretne miejsce pochówku, musimy tę wiedzę znacząco poszerzyć, co nie jest łatwe.

To, że będą następne odkrycia, jest pewne. Choćby tylko dlatego, że w niemal każdym mieście obwodowym czy rejonowym mieściły się areszty, więzienia czy obozy, w których dokonywano egzekucji lub zorganizowanych mordów na obywatelach II RP. Niemal w każdym większym mieście są zbiorowe groby ofiar NKWD czy później okupanta niemieckiego. Problemem jest ich precyzyjne wskazanie. Możemy być pewni, że będzie jeszcze wiele takich odkryć jak w Głębokiem, Łucku i Włodzimierzu Wołyńskim.

► Jak Rosja, Ukraina i Białoruś reagują na poszukiwanie grobów obywateli RP?

Do prowadzonych przez naszą instytucję poszukiwań władze tych krajów podcho-

dą raczej z rezerwą i wstrzeźliwością. To wynika z innych doświadczeń historycznych, kultury i tradycji, ale też często z podejrzeń o „niewłaściwe” wykorzystanie wiedzy, jaką w wyniku tych prac zdobywamy. Zresztą prawo obowiązujące w tych krajach, które reguluje kwestie poszukiwań i ekshumacji, jest skomplikowane i właściwie uniemożliwia samodzielne prowadzenie tego rodzaju działań. Dużo zależy od dobrej woli gospodarzy, którzy niekiedy wspólnie z nami podejmują poszukiwania, ekshumację, a na końcu pochówek i budowę cmentarzy dla ofiar wojen i represji. Często to wspólne pochówki, np. Polaków i Ukraińców. Niestety, to nie przypadki dominujące. Stanowią pozytywny wyjątek, odstępstwo od reguły.

► Jak polskie społeczeństwo pamięta dziś o Kresach? Czy w ogóle pamięta?

Polacy, a przynajmniej spora część społeczeństwa polskiego, pamięta. Wynika to ze

związków rodzinnych czy tradycji przekazywanych z pokolenia na pokolenie przez rodziny żyjące kiedyś na ziemiach kresowych, które po 17 września 1939 r. na zawsze zostały oderwane od Polski. Dotyczy to zwłaszcza starszego pokolenia. Dla pokolenia średniego i młodego to temat nieznany, często wywołujący zdziwienie. Tym bardziej że tak naprawdę w Polsce nie prowadzi się działań o charakterze edukacyjnym, albo zorganizowanych, systemowych badań nad zagadnieniem Kresów: czym one były dla Polski i Polaków, jaki wkład cywilizacyjny wnieśli w ich rozwój, jaki był wpływ Kresów na kształtowanie naszej kultury i tożsamości, a nade wszystko świadomości narodowej.

Pamiętajmy, że przez wieki najbardziej prężnymi ośrodkami naszej kultury duchowej, a często i materialnej były miasta kresowe, m.in. Wilno, Grodno, Lwów. W oparciu o te ośrodki kształtowały się postawy najwybitniejszych twórców, bojowników o niepodległość Polski, artystów itp. Nie da się dziś rozpatrywać wielu dziedzin życia Polaków bez doświadczenia, jakim były Kresy. To zjawisko, które wymaga zgłębienia, bo w dużej mierze jest to klucz do zrozumienia naszych narodowych doświadczeń i emocji. To jakby część tożsamości Polaków, choć nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę. ♦

→ ANDRZEJ PRZEWOŹNIK jest od 1992 r. sekretarzem Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Zaangażowany był m.in. w budowę cmentarzy w Katyniu, Miednoje i Charkowie oraz odbudowę Cmentarza Obrońców Lwowa.

E-Pamięć

JUŻ CZAS, BY ŚWIAT DOWIEDZIAŁ SIĘ O »POLSKIEJ GEHENNIE«, DLATEGO NASZEMU POMYSŁOWI POŚWIĘCILIŚMY MNÓSTWO NAMYSŁU –

CZYTAMY POD ADRESEM

KRESY-SIBERIA.ORG.

17 WRZEŚNIA RUSZY TU

WIRTUALNE MUZEUM KRESOWE.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

W 2001 r. Stefan Wiśniowski z Australii, syn i wnuk sybiraków, założył w internecie grupę Kresy-Syberia, która zaczęła łączyć ludzi o podobnej historii rodzinnej: deportowanych w głąb ZSRR, byłych więźniów obozów pracy, żołnierzy Andersa. Dziś grupa zrzesza 850 osób z całego świata; ich wiek: od 24 do ponad 84 lat. Są tu historycy i zawodowi archiwiści. Zbierali materiały, badali historię bliskich, dyskutowali. Gdy archiwa rozrosły się tak, że nie dało się ich już objąć przy pomocy grupy dyskusyjnej, wymyślili – wirtualne muzeum.

Aby móc zbierać fundusze, w listopadzie 2008 r. powołali w Warszawie Fundację Kresy-Syberia (z oddziałami w Australii, Anglii, USA i Kanadzie). – Rozważaliśmy utworzenie zarówno tradycyjnego muzeum, jak i projektu internetowego – opowiada Aneta Hoffman, dyrektor fundacji. – Zdecydowaliśmy się na realizację dużego muzeum wirtualnego. Umieszczenie go w sieci umożliwi dotarcie do znacznie większej liczby odwiedzających z Polski i spoza niej. Od początku dostępne będą dwie wersje językowe: polska i angielska.

Muzeum będzie interaktywne: doświadczenia Polaków z Kresów mają być udostępniane także za pomocą obrazów (grupa przekazała do muzeum ponad 5 tys. zdjęć), dźwięków, filmów. – Poza 25 „salami” muzealnymi i wystawami czasowymi, ważnym elementem będzie Ściana Pamięci – mówi Hoffman. – Chcemy zebrać na niej jak największą liczbę sybiraków: nazwiska, losy, zdjęcia.

Muzeum czerpie z doświadczeń portali społecznościowych: planuje tzw. Klub Muzeum, gdzie użytkownicy będą mogli wymieniać się informacjami, a zwłaszcza odnawiać. – Chcemy pokazać sybiraków – mówi Hoffman. – Nie ogólne liczby, ale indywidualne historie.

◆◆◆ **Obecność w internecie ma umożliwić pozyskiwanie nowych zbiorów.** – Osoby pragnące przekazać nam eksponaty nie muszą wyzybywać się pamiątek rodzinnych. Zeskanyjemy je albo sfotografujemy, a oryginały wrócimy właścicielom – mówi Hoffman.

Ideę wirtualnego muzeum Kresów poparł m.in. Anne Applebaum, Norman Davies, Wojciech Roszkowski, Ryszard Kaczorowski, Zbigniew Brzeziński i Michael Schudrich. Prof. Roszkowski w wirtualności muzeum widzi szansę: – Gdyby zlokalizować je w fizycznym miejscu, odwiedzałyby je wycieczki szkolne i Polacy, ale nie goście z zagranicy. Internet to ułatwia. Warto by było zadbać o podlinkowanie go pod strony instytucji zajmujących się historią, nie tylko polskich – podpowiada. – Takie muzeum jest pożądane dla naszej polityki historycznej na arenie światowej. Bo społeczności międzynarodowej brakuje wiedzy o losach Kresów. To zdumiewające, jak karykaturalnie przedstawia się tam czasem historię wojny, wysiedleń, a także współzycia społeczności na tych terenach.

Twórcy muzeum chcą trafić do różnych odbiorców. Nie tylko do „kresowia-

ków” i ich rodzin. – Chcemy dotrzeć do Polaków z kraju i zagranicą, a w przyszłości chcemy przygotować materiały dla nauczycieli – planuje Aneta Hoffman. – Kolejną grupą są obywatele innych krajów: naszym celem jest opowiedzenie im o tym ważnym fragmencie historii Polski. Z internetu korzystają głównie osoby młode i w średnim wieku, ale mamy nadzieję, że upowszechnią one nasz projekt wśród starszego pokolenia.

Wszystkie 25 „sal” mają być gotowe do 2012 r.

◆◆◆ **Temat Kresów to wciąż sprawa delikatna**, po obu stronach dzisiejszej granicy. – Kresy to część historii Polski, niemal mityczny dziś obszar, z unikalną aurą wielokulturowości – mówi Hoffman. – Nie możemy o tym zapominać. Co nie znaczy przecież, że dążymy do zwrotu tych terenów Polsce. Szanujemy ich obecnych właścicieli. W naszych dziadkach, rodzicach i, mamy nadzieję, przyszłych pokoleniach po prostu pozostanie ten wyjątkowy sentyment.

Roszkowski: – Weźmy przykład kresów wschodnich dawnej Rzeszy: Polska traktuje dziś ten temat dobrze, nikt nie ukrywa ich niemieckiej przeszłości. To nie żaden „szkielet w szafie”, przeciwnie, pokazuje się ją. Nie wstydzimy się zarówno obecności niemieckiej na tzw. „ziemiach odzyskanych”, jak i polskiej na Kresach. Ważne tylko, by pokazywać to obiektywnie.

– Nasza historia się broni – dodaje prof. Roszkowski. – Nie musimy się jej ani wstydzić, ani jej ubrawiać. A uprzedzenia łatwiej rozwiązywać prowadząc spokojny dyskurs niż rządząc marsze. Nikt rozsądny w Polsce nie usprawiedliwia pacyfikacji Galicji Wschodniej. I tego samego, gdy chodzi o Wołyń, oczekivalibyśmy od Ukraińców. Ważne, by mówić o tym obiektywnie. Mam nadzieję, że wirtualne muzeum takie będzie. ♦

ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU”

czwarty z serii dodatków specjalnych o „polskim roku 1939”

1939: ZAGŁADA POLSKICH ELIT

a w nim:

- rok 1939 jako początek końca grupy społecznej: międzywojennej inteligencji
- polskie elity pod okupacją niemiecką i sowiecką
- między wrześniem 1939 a kwietniem 1940 r. wymordowały 60-80 tys. Polaków: czym były Einsatzgruppen?
- jesień 1939 r. na Pomorzu, Śląsku, w Wielkopolsce, Lwowie i Grodnie
- był humanistą, prawnikiem, melomanem – co sprawiło, że Hans Frank stał się także „rzeźnikiem Polski”?

„Tygodnik” z dodatkiem w kioskach od środy 23 września

WŁADIMIR PUTIN TO NIE CAŁA ROSJA.

Z WIZJĄ HISTORII,
JAKĄ PROPAGUJE KREML,
WALCZY WIELU ROSJAN.
SĄ MNIEJSZOŚCIĄ,
ICH GŁOS ISTNIEJE
W NISKONAKŁADOWYCH
PERIODYKACH I W INTERNECIE.
ALE SĄ.

ANDRZEJ ŁUKOWSKI

Przez ostatnie tygodnie w Rosji toczyła się pełna emocji dyskusja o genezie II wojny światowej, o roli Stalina w okresie poprzedzającym jej wybuch i o znaczeniu paktu Ribbentrop-Mołotow. Propagandowe tuby grały lejtymoty: kierownictwo ZSRR, nieomylnie w swych pokojowych zamiarach, zawarło z Niemcami pakt o nieagresji, podążając jedynie śladem proniemieckich państw, a zwłaszcza prekursora porozumienia z Berlinem – Polski, która swą nieodpowiedzialną polityką spowodowała następnie konflikt.

Jednak są w Rosji tacy, którzy z tą tezą polemizowali – i to zaciekle: rosyjscy publicyści i historycy, piszący dla opozycyjnych mediów. Pakt Ribbentrop-Mołotow nazywali oni błędem, wtargnięcie Armii Czerwonej 17 września na terytorium Polski – zdradą, a wspólną defiladę i sojusz z Hitlerem w latach 1939-41 – hańbą.

Problem polega na tym, że objawienia propagandy pokazywano w telewizji i drukowano w najbardziej poczytnych gazetach, dotarły więc one do szerokiej publiczności. Tymczasem głosy oponentów zaistniały jedynie w niskonakładowych periodykach i internecie.

Protokoły nieomylnych

Obchody 70. rocznicy wybuchu wojny i wizytę premiera Putina w Polsce poprzedziła intensywna kampania propagandowa w rosyjskich mediach [patrz też „TP” nr 37/2009 – red.]. Jak na komendę powtarzano dyżurną tezę: pakt Ribbentrop-Mołotow był reakcją Moskwy wymuszoną okolicznościami: agresywnością Niemiec i fałszywą postawą Zachodu.

Wyglądało to tak, jak gdyby na wzór sowieckich zwyczajów do redakcji najbardziej poczytnych dzienników napłynęły dyrektywy z wydziału ideologicznego partii z wyszczególnieniem, co i o kim należy napisać. Najwidoczniej rolę tego zasłużonego organu, który zanikł w toku transformacji struktur państwowych, przejęła powołana w maju przez prezydenta komisja ds. przeciwdziałania fałszowaniu historii na szkodę Rosji. Jej pracy zapewne zawdzięczamy mocne „przygotowanie ogniowe” przed przyjazdem Putina na Westerplatte. Wśród wybitnych osiągnięć tej linii należy wymienić programy w TV, przekonujące o winie Polski za rozpętanie wojny – np. quasi-dokumentalne filmy, skłcone na podstawie wybranych doniesień sowieckich agentów „Sekrety tajnych protokołów” i „Czy Stalin mógł powstrzymać Hitlera?”. Konsultantem pierwszego był wieloletni rzecznik prasowy Federalnej Służby Bezpieczeństwa, narratorem drugiego – emerytowany generał wywiadu Lew Sockow, który nazajutrz po emisji powtórzył w Moskwie swe filmowe wywody na spe-



Nowa granica między Niemcami i ZSRR, jesień 1939 r.

Bracia Moskale mają głos

cialnej konferencji prasowej, odbywającej się równoległe z konferencją prasową Putina w „mateczniku fałszowania historii” (jak rosyjskie gazety określały Polskę).

W obu tych dziełach myśli polityczno-historycznej stwierdzano, że wojna musiała wybuchnąć, gdyż pokój wersalski był niesprawiedliwy, a nieodpowiedzialne Anglia i Francja uparły się bez powodu, by nie zawierać sojuszu ze Stalinem. W pozytywnym świetle ukazano za to pakt Ribbentrop-Mołotow, jako zapewniający obronę przed napaścią Niemiec i Japonii. W „Sekretach...” w sposób nawiązujący wprost do stalinowskiej wykładni tak tłumaczono wkroczenie armii sowieckiej do Polski 17 września: Stalin chciał w ten sposób utrzymać Niemców jak najdalej od granic, a ingerencja nastąpiła tylko dlatego, że polski rząd uciekł, istniało za to zagrożenie, że Hitler zorganizuje na zachodniej Ukrainie marionetkowy reżim.

Na łamach „Niezawisimej Gaziety” znany historyk Aleksandr Szyrokorad zadał pod koniec swego wywodu (który wyszedł spod tej samej sztancy, co większość publikowanych materiałów) oryginalne pytania: skoro Mołotow z Ribbentropem swym zbrodniczym układem przeprowadzili niesprawiedliwy podział terytoriów Europy Wschodniej, to kto przeszkadzał, by w latach 1991-2009 kraje zweryfikowały swe granice zgodnie ze stanem z sierpnia 1939 r.? I dlaczego krytycy paktu padają na wznak przed wyznaczonymi przezeń granicami?

Pod prąd

„99 procent społeczeństwa po raz kolejny przekonano: MY mieliśmy rację w 1939 r. (jak i we wszystkich poprzednich i następnych latach), a lotry na Zachodzie i wtedy, i teraz to zawsze te same lotry. I tylko jeden procent wie, że pakt Stalin-Hitler był

Nikołaj Swanidze:

Polacy – z ich wrażliwością i wielowiekowym poczuciem doznanych krzywd – doceniliby przeprosiny. To byłby akt politycznego oczyszczenia. To by nas nie upokorzyło.

głupotą, która ani o jeden dzień nie opóźniła agresji Niemiec na ZSRR” – tak historyczną kampanię podsumował w internetowej gazecie „Jeżedniwnyj Żurnal” Leonid Radzichowski. W tej gazecie, jak i w innych opozycyjnych, na ogół niszowych mediach – np. „Nowej Gazecie”, „The New Times”, „Grani” – ton publikacji był inny niż w oficjalnych.

Oleg Chlebnikow w „Nowej Gazecie” pisał: „Kiedy ZSRR przystąpił do II wojny światowej? Chciałoby się odpowiedzieć jak w sowieckiej szkole: 22 czerwca 1941 r. Ale nie można tak odpowiedzieć. Po podpisaniu 23 sierpnia 1939 r. paktu o nieagresji z hitlerowskimi Niemcami i tajnych protokołów, ZSRR aktywnie pomagał agresorowi, który napadł na Polskę 1 września. Naruszając blokadę międzynarodową, ZSRR sprzedawał Niemcom strategiczne surowce. A 17 września Armia Czerwona wkroczyła do Polski – bynajmniej nie po to, aby zapobiec hitlerowskiej agresji, a w zgodzie z paktem, gwałcąc jednocześnie zawarty z Polską w 1932 roku pakt o nieagresji”.

Czy wiedza na temat tych wydarzeń jest w Rosji powszechna?

Ośrodek badania opinii publicznej Centrum Lewady dokonał w sierpniu pomiarów.

Na pytanie: „Czy wiesz, że rosyjskie wojska wkroczyły 17 września do Polski, która walczyła z hitlerowskim najeźdźcą, i zajęły terytoria zgodnie z paktem Ribbentrop-Mołotow” aż 61 proc. badanych odpowiedziało, że nic na ten temat nie wie; wiedziało 16 proc. Znamienne były też odpowiedzi na drugie pytanie sondażu: „Czy popierasz / / potępiasz zawarcie paktu Ribbentrop-Mołotow?”. Odpowiedzi: zdecydowanie popieram: 11 proc., raczej popieram 23 proc.; zdecydowanie potępiam – 6 proc., raczej potępiam – 17 proc., nic nie wiedziało o tym 44 proc.

„Pamiętajcie i wybaczyć”

Ciekawe, jak wyglądałyby odpowiedzi na te same pytania po przepraniu mózgow przez zmasowane naloty propagandystów. Leonid Radzichowski konstatuje: „Jaka jest dzisiejsza rosyjska propaganda i ideologia? Imperialistyczna, miękko stalinowska. Zamiast otwartej polityki – autorytaryzm. Zamiast praw człowieka – państwowa pycha. Wrogość zewnątrz – pogardzany plankton. Taka ideologia gwarantuje bezkarność i zwolnienie z odpowiedzialności elity rządzącej, która wykorzystuje również przeszłość dla legitymizowania swojej władzy. Pokajac się przed Lachami? My (władza z narodem) mamy się PRZED NIMI kajac? I jeszcze powtarza się jakieś brednie, że ofiary domagają się reparacji wojennych od Rosji”.

Wtórnie mu Nikołaj Swanidze, autor m.in. znakomitej serii filmów dokumentalnych „Kroniki historyczne” (aż się prosi, by je pokazać również w polskiej telewizji; takich zdjęć dokumentalnych nie zobaczymy nigdzie indziej – i takiego obiektywnego komentarza też ze święcą szukać!). Swanidze pisze: „Putin [w Polsce] w rezultacie nie powiedział, że pakt był pomyłką. Osobistym błędem Stalina. Wręcz przeciwnie – wypowiedział słowa uzasadniające decyzję sowieckiej dyplomacji w danych warunkach. To nie potępienie. To usprawiedliwienie. Putin nie powiedział też najważniejszej rzeczy odnośnie Katynia. Tego, co wiedzą wszyscy, a co od niego wymagało tylko potwierdzenia: 5 marca 1940 r. na posiedzeniu biura politycznego KC WKP(b) całe sowieckie kierownictwo podpisało się pod zbrodniczym rozkazem o rozstrzelaniu polskich jeńców. Tyle. Polacy – z ich wrażliwością i wielowiekowym poczuciem doznanych krzywd – doceniliby to. To byłby akt politycznego oczyszczenia, elementarnej higieny. Jak umycie rąk w toalecie. To by nas nie upokorzyło. Wydawaloby się – cóż łatwiejszego, jak wyznać: była klęska głodu na Ukrainie, była aneksja krajów bałtyckich, zachodniej Ukrainy i Białorusi, były represje w 1937 r. To i nasz ból, przede wszystkim nasz. Pamiętajcie i wybaczyć. Ale takich wyznań nie było. Putin nie może ich wypowiedzieć. O spleśniałych bulkach – proszę bardzo, a przeprosiny – przez gardło nie przechodzą”.

Propaganda Kremla wyznaczyła pole, po którym mogli wyhasać się wielkomocarstwowi harcownicy, zgodnie z obowiązującym kanonem polityki. Nie pasuje do niego rachunek sumienia. Łatwiej jest sprzedawać wytarte ideologiczne slogany epoki stalinowskiej – padają na podatny grunt. Propaganda straszy Rosjan, że Europa (zwłaszcza ta gorsza, zakompleksiona, wschodnia) chce ich pozbawić chwały zwycięstwa nad faszyzmem, zaś wszelką krytykę pod adresem Stalina utożsamia się z krytyką wobec państwa – ZSRR, a obecnie Rosji.

To kiepski fundament dialogu. Ale wygodny fundament kłamliwej mitologii – i zapowiedź kolejnych bitew historycznych. ♦

17 września

Cd. ze str. I

dało. Natomiast na wieść o wkroczeniu Sowietów dowództwo nakazało atakować ich jedynie w ostateczności. Mówiąc krótko, wobec Sowietów można było się jedynie bronić, nie należało wykonywać żadnych kroków zaczepnych. To pierwsza różnica, która dawała Sowietom miąższą przewagę od samego początku.

Druga rzecz: jeśli spojrzymy na mapę Polski 17 września, to okaże się, że wojska niemieckie na południu okrążyły już Lwów, a w kilku miejscach na Lubelszczyźnie przeszły linię Bugu. Oczywiście, broniła się Warszawa, duże jednostki polskie nadal walczyły w centrum kraju. Ale 17 września wojna była już przegrana. To nie jest tak, że Sowietom weszli w chwili, gdy polscy żołnierze nadal bronili wysuniętych przyczółków zachodnich. Polskie wojsko znajdowało się już w głębokim odwrocie. Dowództwo myślało już tylko o tym, aby utworzyć tzw. przyczółek rumuński, czyli skoncentrować pozostałe siły w dwóch-trzech województwach południowo-wschodnich, okopać się na łuku Karpat i tu czekać na kontruderzenie brytyjsko-francuskie. W chwili, gdy ZSRR wszedł do wojny, cały ten plan legł w gruzach.

▶ A czy możemy porównywać traktowanie cywilów przez Niemców i Sowietów?

Niemcy i Sowietowie traktowali ludność cywilną odmiennie; inny dawali jej też przekaz, w jakim charakterze przybywają. Niemcy wkraczali jako najeźdźcy i od początku nie zostawiali tu wątpliwości, posługując się językiem najeźdźców: Polskę traktowali jako obszar, który należy podbić, jej ziemie zachodnie włączyć do Rzeszy, a „element polski” zlikwidować jako zorganizowany naród. Z punktu widzenia Niemców była to wojna z narodem polskim. Natomiast Sowietowie starali się unikać sformułowań: wojna, najeźdźca itd. Twierdzili, że wchodzi jako agresorzy, ale wyzwoliciele. O ile Niemcy na zajętych terenach tworzyli wojskową administrację okupacyjną, Sowietowie nie: oni zakładali komitety rewolucyjne, a potem cały aparat władz lokalnych, który miał legalizować przejście tej ziemi. To były dwie różne filozofie. Niemcy prowadzili wojnę nacjonalistyczną, rasową

„Uciskany przez polskich panów robotnik wita żołnierza Armii Czerwonej”: sowiecki plakat, kolportowany we wrześniu 1939 r.



IPN - WWW.IPN.PL, WWW.WRZESENIA39.PL, WWW.17WRZESENIA39.PL

i z wyjątkiem krótkiego epizodu, kiedy myśleli, czy jakieś kadłubowej Polski jednak nie stworzyć, traktowali ludność polską jako drugiej kategorii, a żydowską jako trzeciej kategorii.

▶ Czy miało tu znaczenie, że Niemcy i Sowietowie mieli inne plany wobec podbitych terenów i skład narodowościowy był inny pod okupacją niemiecką, gdzie dominowali Polacy, a inny pod sowiecką?

Sowietowie mogli znajdować i znajdowali sojuszników wśród obywateli Rzeczypospolitej: zarówno wśród Białorusinów, Ukraińców, Żydów, jak też Polaków. Do pierwszych dni października mówili, że idą wyzwalać białoruską, ukraińską i polską klasę pracującą. W niektórych materiałach występuje sformułowanie o polskiej republice w ZSRR. Dopiero gdy stało się jasne, że pierwotna linia rozgraniczenia stref wpływów między Niemcami a ZSRR będzie zmieniona – i Lubelszczyzna oraz Mazowsze, które w znacznej części miały stać się częścią ZSRR, będą okupowane przez Niemców – dopiero wtedy zrezygnowano z tego planu i utworzono jedynie „Zachodnią Ukrainę” i „Zachodnią Białoruś”. Były to istotne różnice nie tylko nomenklaturowe, ale mające też przełożenie na traktowanie ludności. Niemcy, którzy Pomorze, Wielkopolskę, Łódzkę i Górny Śląsk wcielili do Rzeszy, a z reszty utworzyli „Generalne Gubernatorstwo”, mogli znaleźć sojuszników tylko wśród rodowitych Niemców i volksdeutsche. Z miejsca uznali 95 proc. Ślązaków za volksdeutsche, duże grupy Kaszubów, ludności Pomorza, w mniejszym stopniu w Poznańskim. Szukali współpracowników, kolaborantów, używając tylko klucza rasowego. Sowietowie takich ograniczeń nie stosowali.

▶ Czy w tej pierwszej fazie wojny zbrodnie niemieckie na ludności cywilnej były częstsze niż sowieckie?

To zależy, o którym momencie mówimy. We wrześniu więcej zbrodni popełnili Niemcy. Od jesieni 1939 do wiosny 1940 r. wymordowali kilkadziesiąt tysięcy przedstawicieli polskich elit, a na terenach włączonych do Rzeszy wypędzili z domów kilkaset tysięcy Polaków. Jest tu też różnica w technice zabijania. Niemcy prześladowali otwarcie, chcieli terrorem zastraszyć Polaków, rządzić przez strach. Sowietowie wprowadzali terror niejako w „szarej strefie”, aresztowania miały miejsce nocami, po cichu.

▶ A w okresie późniejszym?

Jeśli porównamy okres od 1940 r., widzimy i podobieństwa, i różnice. Wywózki obywateli polskich w latach 1940-41 to pod okupacją sowiecką zjawisko masowe: 350-370 tys. wywiezionych ludzi, wywodzących się z elity państwowej i gospodarczej. Mówiąc o obywatelach polskich, mam na myśli zarówno Polaków, jak i Żydów, Ukraińców, Białorusinów. Zesłano ich w głąb ZSRR, np. do Kazachstanu. Odległości zupełnie nieprawdopodobne z perspektywy polskiej czy niemieckiej. Wywózki niemieckie, organizowane także w tym okresie, to były wywózki Polaków z ziem włączonych do Rzeszy do „Generalnego Gubernatorstwa”. Wygnanie z domu trudno porównywać z perspektywy jednostki, jednak czym innym było wygnanie np. z Poznania do Chełma, a czym innym z Wilna do Altajskiego Kraju.

▶ Jakie były jeszcze różnice między obiema okupacjami?

Różnił je także sposób eliminowania ludzi. Wzięci do niewoli polscy oficerowie, z wyjątkiem oficerów narodowości żydowskiej, przeżyli wojnę w niemieckich obozach jenieckich. Natomiast polscy oficerowie wzięci do niewoli sowieckiej zostali objęci rozkazem katyńskim... Myślę, że nasze myślenie o sytuacji na Kresach jest silnie ukształtowane przez zbrodnię katyńską, jak określa się mordy w różnych miejscach wiosną 1940 r., a później przez nakaz milczenia w okresie PRL-u. Paradoksalnie fakt, że w PRL był to temat tabu, sprawił, że stał się czymś powszechnie znanym i silnie określił nasze myślenie o ZSRR do dziś. W efekcie w pamięci zbiorowej, z drugiej strony zdominowanej przez obraz okupacji w „Generalnym Gubernatorstwie”, na dalszy plan zeszło to, co działo się na ziemiach wcielonych do Rzeszy. Tymczasem sytuacja tam oraz sytuacja na Kresach były podobne, jeśli chodzi o skalę represji i ofiary.

▶ Czy likwidacja polskich elit na Kresach i deportacje były najważniejszym skutkiem okupacji sowieckiej? Zniszczono świat Kresów, który tworzył się przez kilkaset lat. A później, pomijając już nawet kwestię granic, był nie do odbudowania.

To się okazało nie do odbudowania w perspektywie historycznej znanej nam dziś. Myślę, że gdyby wojna skończyła się inaczej, to świat kresowy by się odtworzył. Gdyby ludzie, którzy wyszli z armią Andersa, wrócili do swojego Wilna, Grodna i Lwowa, to ten świat nie zostałby przerwany. To przerwa-

nie ciągłości i przeorywanie tego świata trwały od roku 1939 do 1946, gdy skończyły się masowe deportacje i wyjazdy ze Wschodu. Zwróćmy uwagę: gdybyśmy porównali straty Poznania i straty Lwowa z roku 1940, pewnie okazałyby się, że straty Poznańskiego, jeśli chodzi o elity, byłyby nawet większe. A jednak Poznań się odtworzył.

▶ Walki na Kresach we wrześniu 1939 r. wciąż chyba kryją wiele tajemnic, nie wszystko o nich wiemy. Czy dlatego, że nie ma świadków, bo zginęli lub zaginęli?

Problem jest gdzie indziej. Specjaliści wiedzą wiele, choćby z tego powodu, że mamy już dostęp do dokumentów sowieckich. Perspektywa sowiecka, perspektywa np. dowódcy sowieckiego, jest już znana. Wiemy, gdzie i jaki oddział przesunięto, ile stracił ludzi. Dość dużo wiemy też o polskich działaniach obronnych, których zresztą nie było tak wiele. Z wyjątkiem pasa przygranicznego i np. obrony Grodna nie były to jakieś wielkie starcia, jak np. bitwa nad Bzurą. Natomiast problemem jest narastająca po wojnie tabuizacja wydarzeń. W momencie, gdy nie można było mówić, rosły legendy. Pamiętam liczbę 1,5 mln rzekomo wywiezionych Polaków, która po weryfikacji okazała się przesadzona. Z tymi legendami ciężko nam się żegnać, tym bardziej że my, Polacy, chcemy widzieć siebie na Wschodzie jako ofiary z tego powodu, że byliśmy Polakami. Tymczasem, o ile znam materiały i wyczuwam puls ówczesnych wydarzeń, Polacy w 1939 i 1940 r. są dlatego w największym stopniu ofiarami Sowietów, gdyż byli elitą „imperialistycznego państwa”. Sowietowie było wszystko jedno, czy morduje bądź zsyła Polaka, Ukrainca czy Żyda: Stalin chciał zlikwidować Polskę jako „imperialistyczne państwo”. Później, w drugiej połowie 1940 r., we Lwowie czy Białymstoku zaczynają się pewne ukłony w stronę Polaków. Może Stalin doszedł do wniosku, że skoro elita jest już rozstrzelana albo zastraszona, to można przejść do drugiej fazy sowieckizacji: budowy sowieckiego Polaka. Nie było więc tak, że Sowietowie chcieli wszystkich Polaków wymordować. Wanda Wasilewska mówiła o sobie „Polka”; był Berling, był w ZSRR cały szereg Polaków, którzy występowali jako Polacy i zarazem ludzie sowieccy. Nie znajdziemy takich odpowiedników pod okupacją niemiecką. Aby być zaakceptowanym przez III Rzeszę, trzeba było przestać być Polakiem.

▶ Wracając do walk na Kresach w 1939 r.: może nie było wielkich bitew, ale wiele mniejszych starć. Nadal są też całe listy zaginionych bez śladu, np. żołnierze Korpusu Ochrony Pogranicza. Nie wiadomo, kiedy ani gdzie zginęli.

Podobna sytuacja była z policjantami. Żołnierze, a szczególnie kadra KOP, a także policjanci, instruktorzy harcerscy, liderzy partii politycznych: to były grupy uznane za wrogie. Ci ludzie przepadali. To było elementem polityki sowieckiej: oni mieli zniknąć, a nie zostać rozstrzelani tak, że potem lista rozstrzelanych zostanie opublikowana, jak to czynili Niemcy. To była ta różnica metodologii.

▶ Czy są jeszcze szanse na ustalenie losu zaginionych? Może na podstawie archiwów w Rosji?

Możliwe... Dowiadujemy się wciąż o rzeczach, które miały miejsce 300 czy 500 lat temu... Ale dziś te materiały są trudno dostępne. Co nie znaczy, że za trzy, cztery, pięć lat sytuacja się nie zmieni. Historyk musi mieć cierpliwość. I wierzyć, że się uda.

▶ Czy w opisie walk z Sowietami w 1939 r. są jakieś białe plamy?

Białe plamy rozumiane jako nie do końca zbadane rzeczy istnieją, istniały i istnieć będą. Wynika to z trudnego dostępu do akt w Rosji, ale również z braku badaczy, którzy by się tym zajęli. Ale tak samo mógłbym mówić o wojnie na Zachodzie. No, może nie do końca tak samo, bo tam nie ma problemu z dostępem do dokumentów. Jest jednak faktem, że dziś w Polsce niewiele badaczy młodego pokolenia swobodnie mówi po rosyjsku. To samo dotyczy problematyki niemieckiej. A angielski nie jest, niestety, językiem źródeł. W każdym razie, historycy mają pracę na wiele dziesiątków lat... ♦

ROZMAWIAŁA PATRYCJA BUKALSKA

→ Dr hab. RAFAŁ WNUK (ur. 1967) jest historykiem, pracownikiem Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku i wykładowcą KUL. W latach 2000-09 był naczelnikiem Biura Edukacji Publicznej IPN w Lublinie. W latach 90. członek polsko-brytyjskiej komisji historycznej, szukającej w brytyjskich archiwach materiałów o działalności polskiego wywiadu podczas wojny. Redaktor naczelny półrocznika „Pamięć i Sprawiedliwość”. Autor książek, m.in. „Pani i Rezonans. Współpraca AK-WiN i UPA 1945-1947” (z Grzegorzem Motyką), „Atlas polskiego podziemia niepodległościowego 1944-1956” (redaktor tomu), „Za pierwszego Sowietą. Polska konspiracja na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej (wrzesień 1939 – czerwiec 1941)”.